

Zapiski okupacyjne

Marek Kolendo „Żegota”

Kpr./pchor. Marek Kolendo ps. „Żegota” (1923-2009), urodzony w Warszawie uczeń gimnazjum im. St. Batorego, we wrześniu 1939 r. walczył jako ochotnik w batalionie Przysposobienia Wojskowego; do Warszawy wrócił w lutym 1940 r., a jesienią zaczął uczęszczać na tajne komplety. W kwietniu 1941 r. wstąpił do Konfederacji Narodu. Aresztowany w czasie akcji 9 lipca 1942 r. został 26 lipca odbity z więzienia na Daniłowiczowskiej. Ukrywał się po przybranym nazwiskiem w dworze w Krubkach i w Starej Wsi. Od 15 maja 1943 r. w partyzantce przeszedł cały szlak bojowy Uderzeniowych Batalionów Kadrowych. Po walkach o Wilno w operacji „Ostra Brama” aresztowany przez Sowietów pod nazwiskiem Markowski. Skazany został 29 stycznia 1945 r., jako obywatel sowiecki, na 10 lat łagrów i 5 lat pozbawienia prawa obywatelskich. Do Polski repatriował się z Karagandy 24 lipca 1956 r. Swoje przeżycia opublikował w książce *Zapiski okupacyjne - fragmenty wspomnień*, wydanej nakładem Instytutu Norwida w Warszawie, w 2004 r.

Wszystkie lekcje odbywały się w lewobrzeżnej Warszawie

Komplety rozpoczęły się w końcu września. W grupie Marka (autor miał wówczas ok. 18 lat - red) znajdowało się siedmiu kolegów. Dyrektor budy, po staremu profesor Mieczysław Radwański, prosił stanowczo, żeby liczba uczestników nie przekraczała sześciu, siedmiu chłopców. Wybrane lokale znajdowały się w różnych dzielnicach, bo musiały spełniać szereg wymogów: mieć dobry dojazd, przyzwoite sąsiedztwo i mieszć się w ruchliwej kamienicy, gdzie na tej samej klatce schodowej znajdowały się biura, ambulatoria albo jakieś firmy. Zajęcia trwały po trzy, cztery godziny. Ulica też miała znaczenie. Do mieszkania trzeba było mieć dojsie z paru stron, a nie defilować stale pod tymi samymi oknami. Nadzwyczajnej punktualności też nie zalecano. Tak przyjdzie jak i rozejście się należało rozciągnąć w czasie. – *Chłopcy, pamiętajcie, że lichy nie śpi* – mawiała matka Karola, u którego wykłady zwykle trwały najdłużej.

Trochę kłopotów sprawiały podręczniki, ale po jakimś czasie skompletowali je. Plan tak ułożono, aby wszystkie lekcje odbywały się w lewobrzeżnej Warszawie. Na mostach

przeprowadzano obławy, a z nich urywać się nie było dokąd. Najbardziej uciążliwe okazały się dojazdy. Tramwaje wiecznie były zatłoczone i przed, i po południu. Wielu ludzi stale w zaświadczeniach i Ausweisach nosiło pięćsetkę. Żandarm legitymujący bez świadków przeważnie wtedy stwierdzał: Alles in Ordnung. Gdy było ich kilku, delikwent jechał przeważnie do punktu zbiorczego. Wydostanie się stamtąd kosztowało już ogromne pieniądze i nie zawsze było możliwe.

Belfry, jak jeden mąż, okazali się ogromnie fajni, wykłady ciekawsze niż w szkole, kameralne, bezpośrednie. Od razu było widać, czy wszyscy uczniowie rozumieją, czy też mają jakieś wątpliwości. Chłopcy stali się bardziej odpowiedzialni. Niektórzy prawie utrzymywali domy, a w każdym razie znacznie pomagali w łataniu budżetu rodzinnego. Nauka była inna, żadnych psikusów ani dowcipów. Teraz, gdy pisma niemieckie wypisywały brednie o nicości kultury polskiej, gdy ślady jej wielkości niszczone, gdy najwybitniejsi jej przedstawiciele umierali w obozach koncentracyjnych, literatura polska, na przykład okresu Oświecenia czy też pisma Frycza-Modrzewskiego nabierały



Marek Kolendo, Barbara i Maria Kolendo. Stoi gospoia rodziny, Ania Trzaska

wagi. Przy bliższym poznaniu wykładowcy bardzo zyskiwali. Ciekawi ludzie – mieli mnóstwo zainteresowań pozawojskowych. Czasem coś wspomnieli o swoich kłopotach, ale zdarzało się to bardzo rzadko.

Marek zauważył, że w środowiskach inteligentnych wytworzyła się postawa absolutnej dyskrecji, nikt się nie skarżył i nie narzekał. Jakiegokolwiek wynurzenia budziły zdziwienie. Za wiele było tragedii i niebezpieczeństw, aby pozwalać sobie na gadulstwo. Tępiło je – świadczyło o braku kultury i odpowiedzialności.

Sprawami opłat za komplety zajmował się jeden z kolegów, który zbierał należność od pozostałych. Opłata miesięczna wynosiła 25 złotych. Dla większości to było dużo, dla kilku sumka niewielka. Wśród kolegów Marka dobrze sytuowanych było chyba dwóch, reszta miała poważne kłopoty materialne. Starsi ludzie opowiadali, że w czasie

pierwszej wojny światowej wytworzyła się warstwa nowobogackich, którzy dorabiali się na dostawach dla wojska, ale rewolucja rosyjska i późniejsza dewaluacja przeważnie pozbawiły ich zdobytych zasobów. W czasie wojny fortuna bardziej niż zwykle toczy się kołem. Teraz też formowała się nowa warstwa dorobkiewiczów. Należeli do niej ludzie posiadający doskonale prosperujące przedsiębiorstwa budowlane, transportowe, warsztaty wykonujące zamówienia dla wojska, młynarze, i tym podobni [...] waluciarze na dużą skalę.

W piątek, wracając do domu z kompletów ulicą Kazimierzowską, zobaczył, a właściwie usłyszał niezwykły koncert. Na rogu Narbutta koszały SS trzęsły się od wrzawy i śpiewów. Wszystkie parapety oblepione były młodymi byczkami. Niektórzy mieli po rozpinane mundury i śpiewali, a właściwie ryczeli chórem znam pieśń rosyjską: *Wołga*,



Gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie, 1927 r.

Wołga, mat' radnaja... Widok był raczej niezwykle. Zwolnił kroku i przysłuchując się ich głosom musiał przyznać, że śpiewali po rosyjsku wcale nieźle. Marek widział półotwarte okna w sąsiednich kamienicach, ludzi przystających za rogiem, gromadki dzieciaków gapiących się wprost z ulicy na taki odpust. Koszary, ideał porządku i drylu, z których dochodził tylko charkot komend i trzask butów z placu ćwiczeń, teraz świętowały wylewnie, ostentacyjnie. Herrenvolk ze Schutzstaffeln (SS – red.) uczłował i bawił się.

Nazajutrz – w sobotę 21 czerwca – popołudniu zrobił się ruch. Zawarczały motory, mgła spalin zasnuła plac i ulicę. Cała formacja, ogromna zmotoryzowana kolumna, wyjeżdżała z koszar. Ludzie dziwili się, gdzie oni trzymali na Kazimierzowskiej tyle ciężarówek, łazików, motocykli z przyczepami i innych pojazdów o niesprecyzowanym przeznaczeniu. Bramy zamknięto, zniknęli wartownicy. W niedzielę rano Anusia przyniosła ze sklepiku pana Czyrznica gwarantowane wiadomości, że Niemcy poszli na bolszewika.

Podnieceni znajomi z sąsiednich posesji potwierdzili ten fakt. Na cichej ulicy Różanej powstało poruszenie. Marek polecał do miasta czegoś się dowiedzieć.

Śródmieście przedstawiało widok zupełnie niezwykle. Nigdzie nie było widać Niemców, nigdzie nie słyszało się szwabskiego szwargotu. Widocznie nastąpiła totalna mobilizacja zaplecza frontu. Ludzie szukali na Puławskiej gazet, ale żadnych wieści ze wschodu tam nie było. Normalne informacje, ogłoszenia, wybijały się tylko artykuły o potrzebie zgłaszania się do pracy całej ludności, w tym także kobiet. Dopiero dobrze po obiedzie wydano dodatek nadzwyczajny, jedną kartkę małego formatu w języku polskim i niemieckim o rozpoczęciu działań wojennych. Wiadomości były ogólnikowe, brakło danych na temat sytuacji na froncie.

Wśród warszawiaków panowało na ogół przekonanie, że Rosjanie muszą się cofać, bo tam gdzie drogi są suche, Niemcy będą mieć znaczną przewagę. Pogoda była piękna, niebo bez chmur, wszyscy w mieście pełni podniecenia, zaintrygowani brakiem rzeczowych komunikatów radiowych, rozplotkowani. Krótkie wiadomości podawane przez radio w języku niemieckim tłumaczono sobie tym, że szkopy nie chcą informować Moskwy o sytuacji. Nazajutrz w gazetach nadal nie było żadnych wiadomości z frontu, natomiast Frank wydał odezwę do obywateli Generalnego Gubernatorstwa.

Chciał poznać zasadę rozbierania broni...

Ucieszył się ze skierowania na kurs dywersyjno-minerski. Upředzono go, że nie na stałe ma przydział do UBS – Uderzeniowego Batalionu Szturmowego (*oddziału partyzanckiego Konfederacji Narodu, działającego od 1943 r. w ramach oddziałów AK – red.*) Przykleili go tam czasowo, jako że wiadomości z tej dziedziny mogą mu się przydać. Z zadowoleniem dowiedział się, że zajęcia będą odbywać się dwa razy w tygodniu i – co najważniejsze – w Śródmieściu. Podróże tramwajami zawsze zapchanymi, które często się psuły, nie należały do przyjemności. Czas – późne popołudnie – też nie kolidował z kompletami. Po raz pierwszy mieli się spotkać na Kruczej. Dzwoniąc do mieszkania świadomie nie patrzył na mosiężną tabliczkę przybitą do drzwi. W pokoju z oknem od ulicy było aż szaro. Siedział tu już pięciu młodych chłopców i wszyscy palili. Przedstawili się po prostu: Marek. Na stoliku leżały karty do gry, bloczek do zapisu brydżowego. Trochę go to rozbawiło. Niemcy brali do więzień po prostu z ulicy, w getcie strzelali do ludzi jak do bezpańskich psów, czyżby brydż miał być osłoną?

Wykładowca trochę się spóźnił; powiedział, że zaczną od abecadła: od broni krótkiej, pistoletu i rewolweru. Egzemplarzy szkoleniowych było trzy: vis, parabellum i nagan. Ktoś robił notatki, ale Markowi nie wydawało się istotne, który pistolet przebija z odległości 50 metrów dziesięć czy dwanaście centymetrów suchego drzewa. Chciał poznać zasadę rozbierania broni, wiedzieć, jakie mogą być defekty i dlaczego.

Po zasłonięciu okien wniesiono dwie lampy karbidowe. Wykładowca robił schematyczne szkice. Mieli poznawać przede wszystkim broń niemiecką, rosyjską oraz polską, a w przyszłości zaznajomić się z krótką bronią angielską i amerykańską.

Tymczasem prelegent paroma kreskami przedstawiał zasadę działania nagana. Nowi koledzy byli w jego wieku, może o rok starsi. Dwóch pochodziło z Pomorza. Egzemplarze pistoletów leżały na stole, chłopcy je składali i rozbierali. Chyba każdy marzył o zdobyciu takiego oksydowanego cacka. Z minami znawców rozmawiano o zaletach nagana, który nie tak dawno stanowił wyposażenie polskiej Policji Państwowej. Podobno to broń najcelniej bijąca, tylko z amunicją do niej są ogromne kłopoty. Marek nie wtrącał się do rozmowy. Nikogo tu nie znał. Zapytany powiedział, że w życiu nie wystrzelił z pistoletu ani razu, a w rękę trzymał do tej pory tylko hiszpana 9 mm. Ogromne kopyto. Cały prawie miesiąc nosił też karabin typu berthier produkcji Anno Domini 1910. Parę razy wygarnął z niego do kukuruźników (*sowiecki mały dwupłatowy samolot-red.*), które zaatakowały ich kolumnę i batalion KOP-u pod Gródkiem na Wołyniu. Tyle tylko się nawojował.

Było ciemno zupełnie gdy opuszczali punkt. Tak chłopcy nazywali metry organizacyjne. Rzeczywiście brzmiało to poważnie. Wykładowca dawno już się pożegnał. Mieszkał daleko, gdzieś za Bielanami. Uczestnicy kursu mówili, że to fajny facet, choć już żonaty i ma jakieś kłopoty z małym dzieckiem. Z babami i dziećmi zawsze są zmartwienia, dowodził jeden z kursantów tonem wyroczni. Dopiero w tramwaju uprzytomnił sobie, że właściwie nie przyrzekał się dobrze nowym kolegom, choć dwaj Pomorzacy wyglądali solidnie i sympatycznie. Zresztą czas wszystko pokaże.

Wielkanoc przyszła niepostrzeżenie. Prawie nic nie przygotowywano, wiosna spóźniła się, ludzie byli zziębnięci. Tłumy odwiedzali Groby Pańskie, piękne jak zawsze. Niektóre wyraźnie nawiązywały do aktualnej sytuacji narodu i wyrażały wiarę w zmartwychwstanie Kraju, w zwycięstwo nad

okupantem. Mimo aresztowań i deportacji proboszczowie świadomi byli swojej roli, a właściwie posłannictwa Kościoła w tych tragicznych czasach. Stałe podtrzymywali ufność i nadzieję. Bez względu na ewentualne konsekwencje. Na murach domów zaczęły się pojawiać symbole Polski Walczącej. Litera P osadzona na literze W – kotwica. Te znaki miały swój wyraźny sens. Jednym przypominały, a innych przestrzegały.

Kurs odbywał się regularnie. Parę razy jeździli daleko za Czerniaków i w terenie zapoznali się z bronią długą i maszynową, polską i radziecką. RKM typu browning, który był na wyposażeniu armii polskiej, lśnił wypucowany, ale miał liczne nadżerki. Widocznie niezbyt fachowo przechowywano go w ziemi. Sowiecki diegtiarow – nowiutki, błyszczący, ze względu na talerz nie wszystkim się podobał. Wykładowca zwracał uwagę na pewną tolerancję w zamku, w detalach i komorze broni, co powodowało, że był niezawodny i w kurzu się nie zacinał. Błoto też dla niego niestraszne. Pan porucznik powiedział też, że ma trochę niemieckich instrukcji, ale brak niemieckiego karabinu. Trzeba go zdobyć. Wykład odbywał się w garażu samotnej, stojącej na uboczu nieukończzonej willi.

Minerkę robili w Śródmieściu. Nie trzeba było człapać po błocie polnymi drogami jak na Czerniakowie. Wykłady były ciekawe, Marek na marginesie „Nowego Kuriera” zapisał parę wzorów. W wyobraźni widział już siebie i chłopców, jak nocą pakietują przęsło mostu kolejowego w Warszawie. Jak niszczą centralne DEPO warszawskiego węzła kolejowego.

Oglądali materiały wybuchowe wielokrotnie silniejsze od dynamitu. Plastik, materiał A, materiał 808 – bezpieczne, czymś trochę śmierdzący, jeden – musztarda. Wykładowca powiedział, że jak dotychczas najwięcej na stanie jest zwyczajnego trotylu. Jego

zapasy powiększyły się, gdyż ruszający na wschód żołnierze Wehrmachtu pozostawili nad Bugiem sporo rozmaitych „nadwyżek”. Sam widział pastuszka, który swój kubraczek przewiązał ekspresem, to jest lontem błyskawicznym. – *Dwukolorowy sznur* – objaśnił – *spodobał się dziecku*. Zastanawiali się nad problemem skupu takich materiałów w wioskach położonych nad samym Bugiem, bo parokrotnie stwierdzono, że chłopcy trotylem rozpalają w piecu. – *Zapalniki do granatów, splotki do materiałów wybuchowych to sprawy poważne. Nieuwaga może kosztować palce* – uprzedzał wykładowca. Ekspонатów mieli sporo, włącznie z sowieckimi i angielskimi.

Jedno z ostatnich zajęć było bodajże najbardziej interesujące. Traktowało o metodach, bardzo zresztą różnych, uszkadzania pojazdów mechanicznych – parowozów, motocykli, także o zatrutowaniu paliw. Chłopców ogromnie interesowało, czy istnieją sposoby odbarwiania benzyny wojskowej farbowanej na niebiesko i czerwono. Widocznie nie tylko Marek dorabiał pokątnym handlem.

Na koniec porucznik „Machwicz” wspominał o już istniejącej poważnej dziedzinie chemii wojskowej – toksykologii, czyli wiedzy o truciznach. Jest to właściwie temat tabu. Może broń przyszłości. Pytań i odpowiedzi, nie bardzo zresztą wnikliwych, Marek słuchał jednym uchem. Siedzieli sobie teraz w centrum miasta, głodnego, nękanego, ale przecież w dobrej atmosferze zwanego społeczeństwa.

W Krubkach

Podczas okupacji dwór w Krubkach w pow. wołomińskim stał się schronieniem dla bardzo wielu osób, które zostały wysiedlone lub ukrywały się. Przez cały okres II wojny światowej Zofia Arkuszewska gospodarowała w swoim majątku, który nie został



Park w Krubkach

przejęty na rzecz władz niemieckich – na tzw. Liegenschaft. We dworze, w końcu września lub na początku października 1939 r., przebywał mjr Henryk Dobrzański „Hubal”, który po klęsce kampanii wrześniowej nadal walczył z Niemcami.

Arkuszewska współpracowała aktywnie z konspiracją akowską, zatrudniając wiele osób należących do struktur podziemnych. Szefem AK we dworze był ogrodnik Arkuszewskiej, o nazwisku Andrzejak, uciekinier z Poznańskiego. Tu po odbiciu ich z więzienia na Daniłowiczowskiej znaleźli schronienie dwaj członkowie Konfederacji Narodu: Stanisław Hniedziewicz „Kubica” (zginął w 1944 r. Wilnie w operacji „Ostra Brama”) i Marek Kolendo „Żegota” (1923-2006) późniejszy więzień sowieckich łagrow. (red.)

Podróż trwała około dwóch godzin. Wreszcie dojechali do Krubek, położonych gdzieś koło Okuniewa. Dwór był rozległy, ale bez wyrazu. Park natomiast miał

piękny, stary drzewostan. Pani Zofia Arkuszewska, właścicielka majątku, która ich tu przywiozła, wyjaśniła, że zakładała go pani Grabowska, morganatyczna żona Stanisława Augusta. Parę świerków i ogromnych buków na pewno pamiętało jej czasy.

W środku dwór prezentował się sympatycznie. Niektóre jego fragmenty były bardzo stare. Jadalnia robiła duże wrażenie. Wisiał tam długi rząd portretów, kilka chyba niezłego pędzla. Oczywiście szlachcica kontusza goniły Marka, gdy po pobieźnym zwiedzeniu domu zaprowadzono ich do pokoiku na poddaszu. Pani Arkuszewska w ich „apartamentach” powiedziała, że chce wyjaśnić parę spraw.

Teraz jest tu pełno gości dość „trefnych”. Służbę mam oddaną i wypróbowaną. Ponieważ mieszka tu wiele wiekowych osób, mających ponad 80 lat, należy stworzyć pozory, że jestem waszą ciotką. Starzy ludzie bywają gadatliwi, proszę o tym pamiętać. Mieć też rzadko, ale jednak, wizyty oficerów



Ul. Danilowiczowska, 3 brama posesji aresztu miejskiego, 1936 r.

niemieckich stacjonujących w Rembertowie. Sierpień nie jest okresem dużych polowań, niemniej miałam już takich gości. Zresztą oni na ogół starają się zachować przyzwoicie. Kawa i kieliszek koniaku w pełni ich satysfakcjonuje.

Może się jeszcze zdarzyć i taka ewentualność – mówiła dalej – że przysła tu tak zwane Rente-komando, czyli żołnierzy wypisanych ze szpitala, których na rekonwalescencji trzeba będzie odkarmić. Do tej pory nie przyjechali, więc myślę, że unikniemy ich pobytu, w każdym razie tego lata. Oficjalnie przysyłają ich do polskich majątków, szczególnie uprzemysłowionych jak Krubki, dla ochrony przed bandytami. Oczywiście od takiej opieki nie może się wykręcić.

Cóż dalej?. Na posilki używa gong, do stołu siada ponad czterdzieści osób. W waszej sytuacji ma to może i dobre strony. Jest tu biblioteczka, sporo książek rozciągnięto, ale pewnie coś tam jeszcze znajdziecie. Mój pokój znajduje się na pierwszym piętrze, zaraz za łazienką. Aha, jeszcze [...]po kolacji zbieramy się wszyscy na wspólną modlitwę.

Opalona, z nitkami siwymi we włosach, wyglądała na osobę bezpośrednio zajmującą się prowadzeniem całego gospodarstwa. To z pewnością była dzielna kobieta.

Pierwszy posiłek, a właściwie prezentacja, okazała się ogromnie kłopotliwa. O ile młodszy mieszkańcy Krubek przyjmowali jako rzecz normalną mruknienie kończące się na -cki, czy -ski, o tyle starsze panie nie uznawały takiego sposobu przedstawiania się. Szczególnie jedna ucieszyła się, że „Kubica” nazywa się Halecki. Dowodziła, że z pewnością musi być kuzynem jej Kocia i zaczęła wypytывать o rodzinę. Na szczęście on nie spieszył się i weale, wymyślił, że pochodzi z Brasławia, ojciec jego nie żyje[...]. To trochę uspokoiło dociekliwą damę, która wreszcie pozwoliła mu zająć wyznaczone miejsce[...]. Przy ogromnym długim stole zasiadł komplet biesiadników. Obiad był raczej spartański, ale smaczny. Marek spostrzegł, że bardzo uważnie przygląda im się młodzież, której było sporo. Kilku dobrze prezentujących się chłopców w różnym wieku oraz gromadka dziewcząt. Z zasłyszanych

nych urywków rozmów wywnioskował, że przy stole znajduje się przynajmniej dwóch profesorów i kilku rolników. Przypuszczał, że to ziemianie z Pomorza i Wielkopolski. Część młodych chyba pracuje w gospodarstwie. Starsza generacja, szczególnie panie, to wypisz wymaluj postacie z powieści Rodziewiczówny. W sumie ten wielki zespół ludzi wysadzonych z siodła prezentował się ciekawie i nobliwie. Marek przyrzekał sobie, że nie dopuści do żadnych dłuższych pogawędek, obojętnie z kim. Milczenie jest złotem, w każdym razie w tej sytuacji. Łączniczka Hela Jamontt powiedziała im, że listy gończe już się ukazały. Plakaty wiszą w całym Generalnym Gubernatorstwie[...].

Popołudniowy rekonesans przekonał ich, że majątek pani Arkuszewskiej jest duży i uprzemysłowiony. Gorzelnia, krochmalnia, okazałe zabudowania gospodarcze, w które nawet obecnie zainwestowano[...] Gong na kolację usłyszeli daleko w polu. Trochę spóźnieni usiedli w momencie, gdy ich sąsiedzi przy stole omawiali świeżo nadeszłe informacje o wywózkach z getta warszawskiego. Znajomy nadleśniczy, poważny człowiek, sam widział transport Żydów, których wieźli przez Małkinię. Niemieccy konwojenci na tej stacji zastrzelili wszystkich idących do pompy po wodę[...].

Wspólna modlitwa zaczynała się wieczorem o godzinie siódmej. Przychodzili na nią prawie wszyscy goście, a także służba i jacyś oficjaliaści. Ogromny pokój zapełniał się. Panował półmrok, tylko koło figurki Matki Boskiej paliły się czerwone lampeczki. Stanęli z boku przy ścianie. Odmawiano litanie. Marek pomyślał o obrazach Grotgera. Ten sam półcień, nastrój, skupione twarze kobiet i dziewcząt [...]. Młodzież stawiała się w komplecie. Później, gdy spacerowali po parku, obaj przyznali, że atmosfera tej błagalnej litanii nawiązuje do tradycji powstańczych i ma w sobie jakąś wielką siłę. Przed



Marek Kolendo z siostrą Janiną (1943 r.)

niewielką figurką Matki Bożej modlił się zespół ludzi wewnętrznie zwartych, duchowo silnych.

Hela przyjechała niespodziewanie. Sądziła, że wpadnie w sobotę, niedzielę, ale odwiedziła ich wcześniej. „Kubica” krótko zreferował swe wrażenie. Przede wszystkim chcą opuścić dwór i zamieszkać gdzieś niedaleko, chociażby w gorzelnii. Unikanie rozmów lub kleczenie na prędcie scenariusza rodowodu jest bardzo męczące. Zachowywać jak raróg też nie należy. Jedyne wyjście zmiana kwatery. Hela rozumiała to doskonale [...]. Konferencja z właścicielką Krubek nie trwała długo. Koleżanka „Wawrzecka” (bo takie nazwisko nosiła aktualnie), żegnając się z nimi zawiadomiła – *Jutro przenosiscie się do gorzelnii. Przyszykują tam wam pokoiki. Za tydzień, dziesięć dni zabieram was stąd.*

W gorzelnii było fajnie. Stancjka niewielka, bielona wapnem, dwa żelazne łóżka, szafa, umywalka i stół z jednym krzesłem. Dolna część okna zasłaniał muslin przypięty pinezkami d ramy. Czuli się tu niezależni [...].

Wybór tekstów: empe